

Wychodzą we *Włosek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. Ryciny i mod kwartal. 1 Zł. 20 kr.

# NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza piśmiem pcyt w przedziółce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr. za następ. po 1 1/2 kr. i zado-płate 10 kr. stepl. za kaźdorazowe umieszczenie. Bióro ekspedycji w księ-garni H. W. Kallenbacha.

## JAK SIĘ U NAS ŻENIA.

Obrazek społeczny.

### IV.

### W SALONIE.

(Dokończenie.)

Tak tedy rzeczy stały już po kilku dniach bliższej jego z domem pana Mateusza znajomości, gdy pewnego poranku pan Mateusz przyjechał w odwiedziny do pani Rembiny

Pan Mateusz przeciw swemu zwyczajowi chmurne miał czoło, i zanim do rozmowy przystąpił, krząkał kilka razy z przyciskiem dziwnie groźnym.

Pani Rembina śnać dobrze znała pana Mateusza, przyskoczyła bowiem zaraz do niego, i przemówiła z uprzejmym i podchlebnym przyciskiem głosu:

— Jak się masz kochany kuzynku? Jaki wiatr szczęśliwy przywiał cię do mnie panie Mateuszu?

— Ja się wcale nie mam, odrzekł jej między dwoma krząknieniami. Ja przyszedłem się mojej pani zapytać, kiedy będzie raz koniec?

— Jaki koniec? zapytała naiwnie Rembina.

— Nie udawałabyś imość. Ten pan Felix umizga się dość gładko, ale cóż kiedy się nie oświadcza!

— Dlaczegoż znowu tak prędko?

— Jak to prędko? czy gramy komedją czy co? Pani wiesz przecie że trzeba...

— Zapewne!... ale ja bym chciała, żeby się już raz pierwszej oświadczył mój Artur Kopycińskiej.

— A cóż mnie do tego?

— A teraz to znowu pan Mateusz chce ze mną grać komedją. Wszak pan wiesz, że jak się Artur raz już nie zwiąże z Kopycińską, to gotówby ten szaleniec jeszcze wrócić do swej dawnej miłości.

— Piękna to była i miłość!

— Byliśmy kiedyś i my młodzi panie Mateuszu, z uvažala z westchnieniem głębokim Rembina.

— Ja byłem zawsze *człowiekiem honoru*, u mnie cnota i uczciwość była zawsze gruntem.

— Któż wątpi o tem?

— Jednem słowem ja chcę rychłej decyzji. Wszakże ja nic nie miałem także przeciw Arturowi. Niechby się był ożenił z nią. Woliał to zrobić, niżeli ją rozkochać. Korzystając z jej bytności u pani...

— To była dziecinna miłość.

— Pięknie mi dziecinna!... To też właśnie... I zakończył przemowę krząknięciem straszliwym. Zawsze raz już skończyć trzeba bo dziewczyna sama gotowa zrobić głupstwo, i wypowiedać się przed swoim Adonisem.

— Tobo było okropne.

— Natenczas pan Felix by odstąpił, a Kopycińska rozżalona za brata zerwałaby z panem Arturem, któryby musiał wrócić do Malwiny. A po chwili zapytał: Czy też ta Kopycińska kocha Artura?

— Jak szalona! bardzo naturalnie, starsza od niego.

— A on?

— Zaczyna się przywiązywać do niej... do czego przykłada się i perspektywa.

— Czyli ona tylko nie kłamie o tym swoim majątku?

— Majątek przecież na Podolu... wszak nie daleko, by się z łatwością przekonać...

Pan Mateusz na to dictum z pewnym przyciskiem powiedziane, nic nie odpowiedział, krząknął tylko groźnie i dodał:

— Ja jestem człowiekiem honoru! przestrzegam więc panią, by ta cała rzecz była przyspieszoną. Ja chcę już raz wydać ją za mąż, i pozbyć się tego ciężaru. Zresztą kto wie czy sam nie wyjadę gdzie za granicę...

— Może interesa? zapytała pani Rembina, ciekawe weiskając weń oczy.

Lecz pan Mateusz już nic na to nie odpowiedział, może nawet nie słyszał, bo z hałasem i krząknięciem wstał z krzesła, pożegnał gospodynię i wrócił do siebie.

Był to dzień ważny dla pani Rembiny, bo w godzinę później miała stanowczą z synem rozmowę. Pan Artur słuchał z uwagą słów matki, które zdawały się go przekonywać.

— Szkoda mi jednak tej Malwinki! wyrzekł z westchnieniem.

— Wierz mi synu, że to głupie i sentymentalne dziewczę nie dla ciebie. Z Kopycińską będziesz żył na wielką stopę, całem życiem, a z nią tylko będziesz szczęśliwy.

— Żeby ten Felix przynajmniej Malwinę zrobił szczęśliwą.

— Będą sobie żyli, jak będą mogli, zresztą co nam do tego... A więc mój Arturze kochany...

— Dziś się jeszcze oświadczę.

— I pewien jesteś?

— Czy pewien?... odrzekł syn zaglądając do zwierciadła, i podkreślając czarny wąsik... Adieu kochana matko.

Wieczorem wpadła do Rembiny Malwina blada i spłakana. Padła przed nią na kola i załamała ręce jakby do modlitwy.

— Ratuń mnie pani!

— Ciebie ratować? moje dziecko!

— Pani wiesz wszystko.. Ja Artura kocham.. a tego pana Felixa nie...

— Artur nie godny ciebie! choć mój syn, z teatralnym wyrzekła gościem surowa matka, ale powiedzieć to muszę, że niema serca! Z tamtym będziesz szczęśliwą..

— Nigdy! zawołała Malwina.

— Artur oświadczył się już pani Kopycińskiej.

— Artur oświadczył! krzyknęła. Niegodziwy.. A więc ja nikogo oszukać nie myślę... ja powiem panu Felixowi wszystko... wszystko...

— Moja Malwińciu! ozwała się pani Rembina tonem surowym i świętobliwym. Są tajemnice, które się tylko przed Bogiem odkrywają... Przed ludźmi nigdy.

I ten morał, snać już dawniej zasłyszany i powtarzany, przekonał Malwinę. Długo jeszcze było płaczu i rozmowa przeciągnęła się późno w noc. Lecz ponieważ wszystko na świecie ustać musi, ustały i łzy panny Malwiny.

A Rembina jak zaczęła jeździć i ruszać się, do dwóch dni rzeczy były skończone. Pan Felix oświadczył się Malwinie, a Artur pani Kopycińskiej. Oba oświadczenia zostały przyjęte. Obydwa śluby miały się odbyć jednego dnia, oczywiście, z powodu nieskończonej jeszcze żałoby pani Kopycińskiej, po cichu, prawie tajemnie, bez hucznych zabaw i głośnego wesela.

Pan Felix skrzywił się trochę, gdy usłyszał o postanowieniu siostry, bo tak już mocno uwierzył w swój rozum i szczęście, że majątek siostry w swych bujnych marzeniach uważał już za swój. Lecz cóż było robić? trudna rada, siostra była *doskonale* wieloletnią, zakazać jej niepodobna. Ubrał się więc w filozofię i z powagą wyrzekł sam do siebie:

— Wystarczą mi moje ukraińskie dobra.

Śluby przyspieszono w sposób niezwykajny. Pani Rembina dwoiła się, troiła, po całych dniach latała za sprawunkami potrzebnymi dla obu par młodych.

Pan Felix był jakby w raj, bo widząc te wszystkie piękne i kosztowne szmatki, jakie zewsząd zwożono dla jego przyszłej małżonki, na które rzeczywiście pan Mateusz wcale nie żałował, coraz to większego i szanowniejszego nabierał wyobrażenia o bajecznych rozmiarach tego ukraińskiego posagu, który cudowne przybierając przemiany śnił mu się po całych nocach.

Malwina zdawała się także być już zdecydowaną. Widząc zapewne, że inaczej być nie może, postanowiła zwrócić swe myśli i uczucia przyszłemu małżonkowi. Czasem jeszcze wystąpił na jej twarzy jakiś gorączkowy rumieniec; oczy jej czerwone świadczyły o przelanych łzach i nocach bezsennych, lecz wnet się opamiętała i jeżeli nie wesoło, to przynajmniej bez rozpaczki patrzyła na ślubne przygotowania. Ta tylko w niej zaszła widoczniejsza zmiana, że z pewnym wstrętem patrzyła na Rembinę i pana Mateusza, a z pogardą na Artura.

Wszystkie te wszakże osobne odcienia były dla naszego szczęśliwego Felixa hebrajskim językiem. On właśnie nie żył już we Lwowie, ale brodził ciągle po rozległych stepach i wysokich trawach pięknej i bujnej Ukrainy.

Przyszedł wreszcie pożądaný dzień ślubu. Pożądaný osobliwie przez pana Felixa, który tyle razy, a zawsze nadaremnie nauganiał się za nim. No! przecież raz dopiął swego celu, z największym mojem, oraz cierpliwych czytelników ukontentowaniem, bom się, szczerze mówiąc, spisał gorzej diurnisty, a znudził, jak przy mądrej jakiej powieści.

Tym więc razem pan Felix już na prawdę się ożenił. Takim sposobem dotrzymał danego słowa: „*Że Feluniu się ożeni*” i sprawdziło się przy tem po raz ostatni przysłowie pana pułkownika: „*Jakos to będzie*”, lecz czy i słowa pani pułkownikowej: „*Feluniu ty będziesz dziedzicem Wyżniowej*” się sprawdzą? zaraz zobaczymy.

Dwa podróżne powozy czekały na obie młode pary, z których każda po lekkiej kolacyi miała odjechać w swoją stronę: Państwo Artur na Podole, Felixowie na Ukrainę. Pani Rembina miała na czas jakiś jechać do syna. Pan Mateusz jeden zostawał w mieście, chociaż ktoby był uważnie pomieszkanie jego przebiegł, poznałby w niem jakieś zamieszanie.

Poczas gdy trąbią pocztowe trąbki, obie młode pary zajęte były pakowaniem. Pan Felix dostał nawet od pana Mateusza paręset dukatów, a konto dochodów z dóbr ukraińskich, z których na miejscu ma być mu zdany rachunek. Właśnie składał, wesoło poświstując, jakieś swoje manatki, gdy nagle i z łaskotem otworzyły się drzwi.

Wpadł zadyszany Szpakowski.

— Felixie, czy to być może? ty już po ślubie?

— Alboż nie czas?! Dopiąłem raz swego, i właśnie wyjeżdżam do dóbr moich na Ukrainę... a zatem.. przepraszam cię panie Szpakowski, dodał z dumą raptem spanoszonego posagiem żoninym hołysza.

— Haniebnie jesteś oszukany!

— Jakto oszukany? zawołał pan Felix bledniejąc nieco.

— Bo ta cała historia o wielkim majątku na Ukrainie jest fałszem, istną brednią!

Ty sam bredzisz, mój kochany Szpakowski. Pan Ukra-

iniski, wuj i opiekun żony mojej jest znajomy jako człowiek pełen cnót, honoru i uczciwości.

— Jakim jest on człowiekiem, wkrótce sam się przekonasz. Ale ty jesteś... niech ci nie powiem! Taka mnie passja bierze... żeby też dać się wystrychnąć na takiego dudka. Chowaleś się przedemną, jedynym twoim przyjacielem! niechciałeś się mnie radzić... masz teraz... a ja na nie-szczęście dopiero dziś dowiedziałem się o wszystkim.

— Mówże co masz mówić, przerwał Felix coraz nie-spokojniejszy; i nie urażaj mnie.

— Djabli ci teraz co z tego przyjdzie, czy ja cię urażę, czy nie? Cała historia jest taka: Artur kochał się w twojej żonie... Rembina nie chcąc by się z nią żenił, i przynosząc naturalnie pewne wioski podolskie nad brednie ukraińskie, chciała skojarzyć synka z Kopycińską. By to prędzej do skutku przywieść, otumanili ciebie i Kopycińską za pomocą pana Mateusza jakimś ogromnym posagiem, który jest: in spatiis imaginariis.

— Więc ten majątek ukraiński? zawołał Felix.

— Jest na księżycu! odpowiedział Szpakowski.

— Ależ wuj i opiekun żony mojej?

— Jaki on tam wuj i opiekun?... szeroko o tem Dawid pisał, i mnie nic do tego, ale to wiem z pewnością że pan Mateusz sam bankrut, i że sam lada chwilę fugas chrustas zrobi.

Pan Felix coraz więcej blał i truchlał. W tej chwili ozwał się wesóły odgłos trąbki pocztarskiej, i turkot powozu po bruku. I w tejsze samej chwili zdało się im, po ciszej nocnej słyszeć, jakby w oddaleniu, o parę ulic, zawtórował inny odgłos trąbki i inny turkot powozu.

— Co to? zapytali się oba oczyma.

I otworzyły się drzwi wchodowe, i drzwi od środka pokoi prowadzące. Przez wchodowe wszedł służący z listem na tacy. Przez środkowe weszła Malwina w stroju podróżnym.

— Czy jedziemy mężu? ozwała się. Siostra twoja w tej chwili już odjechała. Pani Rembina wyperswadowała jej, że lepiej się nie żegnać, aby uniknąć przykrej zawsze pożegnania sceny.

— Sceny! pożegnania! zawołał Felix, bijąc się w głowę pięścią... A wiesz ty!... żeście mnie haniebnie oszukali?...

— Oszukali! krzyknęła Malwina i padła zemdlona.

— Jej daj pokój, ozwał się Szpakowski. Wiem z pewnością, że do ostatka była przekonaną o prawdziwości swojego ukraińskiego posagu.

— Ale dlaczego zemdlła?

— Tego już niewiem, to inna rzecz, odpowiedział Szpakowski, i zbliżył się do zemdlłej, by ją ratować.

— Zdrada i zdrada!... Cóż to znowu za list, krzyczał dalej pan Felix do służącego, który mu go podawał na tacy.

— Od pana Ukraińskiego.

— Od niego! dawaj.

A gdy przeczytał porwał się obiema rękami za głowę, i już zupełnie prawie od zmysłów odchodził z rozpacz.

— Czytaj kochany Szpakowski.

W liście tym pan Mateusz w krótkości mu donosił, że „w tej chwili musi wyjeżdżać dla uaranżowania bardzo zawikłanych interesów majątkowych. Że co do posagu Malwiny ma ona w rzeczy samej na Ukrainie maleńką wioseczkę po matce, (o ojcu niewiedzieć dlaczego nic nie wspomniał), ale ta wioska jest właśnie w exdywizji za długie... że przecie może się tam dać wydobyć z tego choć parę ty-sięcy złotych... Że przykro mu nareszcie, iż nie może swojej ulubionej wychowawicy nic więcej dać nad te paręset dukatów i wyprawę, jaką jej już dał, że jednakże, jeżeli się własne jego poprawią interesa, nie zapomni o niej, i że ich zawsze, jakby własne dzieci *kochać* będzie, bo przecież jest: człowiekiem honoru!”

Nie będę opisywał rozpacz i wściekłości w jaką wpadł biedny Felunio. Chciał zabić siebie i żonę, zamordować siostrę i Artura, a Rembinę przynajmniej poćwiertować.

Łatwo pojąć co się z nim dzieć musiało w tej okropnej chwili tak okropnego zawodu! Kiedy mniemał, że zabiegi jego posagowe, pomimo kilkurazowego nieudania przecież nakoniec szczęśliwym zostały uwieńczone skutkiem, przekonał się raptem, że jego tak piękne i bujne nadzieje naraz wszystkie znikły jak sen piękny, a miasto życia rozkosznego, znalazł się na zawsze pogrążonym w przepaści bezdennej golizny.

Mnie samemu trochę żal biednego Felunia, choć na to wszystko niezawodnie zasłużył. Spodziewam się, że to zdanie podzielają i wszystkie a osobliwie *nieposażne* panny, które z czystej, chrześcijańskiej miłości a z oburzeniem moralnem chórem zawołają:

„Dobrze mu tak! dobrze mu tak!!!”

Szpakowski pokazał tym razem wiele taktu, bo kiedy już raz, jak to mówią: „stało się...” stulił on głowę, niewyrzucił nic więcej Felixowi, przeciwnie umitygował Felixa przynajmniej o tyle, że porzucił swe mordercze myśli. Czas i konieczność dokonały reszty.

Wyjechał na tę tak długo wymarzoną Ukrainę, i tam na malej cząsteczce, z malej wioski wydzielonej, osiadł w lichej chatce, i złote nadzieje swoje musiał zamienić na niewdzięczne trudy lichego dziedzictwa i mozoły ciągłego pieniąctwa.

Siostra, dowiedziawszy się o wszystkim, gniewała się z początku na Rembinę, lecz ta umiała gładko się wyklamać, tłumacząc się, że sama została oszukana przez pana Mateusza, na którego też głowę spadały co dzień rzesiste przekleństwa.

Snać mu zaszkodziły, bo jakoś wkrótce przysła wia-

domość, że zgrawszy się w Hamburgu, umarł nagle goły i zadłużony.

Z początku przysyłała Felixowi Kopycińska pieniądze zasiłki z dobrego serca, (a któraż kobieta go niema?)! lecz i to nawet ustało, bo pan Artur, do którego żona coraz więcej nabierała słabości, sprzeciwiał się temu.

Smutne więc pędził dnie pan Felix na pięknej i żywej Ukrainie, może za mocno ukarany za czysto posagowe zabiegi, ukarany za zdradę tyłu czułych, a nawet szczerze kochających serc niewieścich!

Jednakże ciągle a ciągle cierpieć, nawet za grzechy w czystcu nie będziemy, jak nas solennie zapewniają, zmiłowała się przeto i nad Felixem miłosierna opatrność, i zesłała nań *pociechę*.

Jakoż w sześć miesięcy po odjeździe jego ze Lwowa, weszło mu w dom błogosławieństwo w postaci zdrowego, czarnookiego synka, który do tego wcale zyzem niepatrzył.

L. Sz.

## DWIE CHWILE ŻYCIA.

Pókiś dzieckiem... to jak kwiatek  
Rośniesz, kwitniesz, śnisz bez troski  
Światem dla cię... szereg chatek,  
Ludźmi dziatwa jednej wioski.

Lecz gdy dalej pójdiesz w lata...  
Z sercem świat ci się rozrośnie,  
Znikczemnieje drobna chata,  
Gdzieś tak przed tem śnił radośnie,

I za kopce cichej wioski  
Zbiegniesz pełen cnej ochoty;  
Oj! a z tobą pójdą troski,  
Smatki, bole, łzy, tęsknoty.

Dziwne losu są igrzyska!  
Złe i dobre zdrojem płynie,  
Co człek straci, nieodzyska,  
Bo wstecz fala niepopłynie.

B. B.

## Wspomnienia z podróży i wycieczek.

Przejazd po ziemi Dońskiej, przez W. D.

I.

(Ciąg dalszy.)

Daremne były wszystkie moje perswazje, przekładania, że każde złe na tej ziemi musi mieć swój koniec; że

nasze więzienie na stacyi pocztowej lada chwila może się skończyć; żeśmy jeszcze szczęśliwsi niż inni, którzy gdzie na gościńcu śród błota, w obecnej chwili, na ślocie i deszczu nocują, nie będąc w stanie dostać się do naszego liczego i wesołego towarzystwa.

Z ironją kolega słuchał tych przełożeń, nareszcie zgodził się czekać do jutra. Lecz nazajutrz rano postanowił abyśmy użyli względem pisarza takiej samej taktyki, jaka nam się powiodła z końmi poprzedniej stacyi, gdy nam na drodze stanęły. Lecz i to nie wielki miało skutek. Wezwaliśmy rano pisarza. Groźby, łajania posypały się gradem na biednego; zażądaliśmy księgi skarg, chcąc niby wpisać nasze pretensje. Z całą pokorą nam ją przedstawił. Zażądaliśmy obrachunku z rozesłanych koni; tak dobrze się obliczył i dowiódł, że nie tylko konie, jakie były na stacyi zostały rozesłane, ale nawet jakich tam nigdy nie było, a to wszystkie w interesie pilnym skarbowym. Przytem z taką pokorą, z takim wdzięcznym tłómaczył się uśmiechem, z taką uniżonością przyrzekał poprawę i zadość nam uczynienie, że od gniewu i grózb sprowadził nas na ton żartów. On zwyciężca odszedł a żona jego zaraz nam wnosić poczęła na misach jadło zwykle i na każdy dzień jednakowe, tłómacząc się z braku świeżych produktów, dodając iż swym gościom radaby wszystko oddać z pod serca, lecz gdzie tu co wziąć gdy na około nie ma co kupić, i chyba aż do Stawropola lub Axaja musiałyby posełać.

— Ale moja pani, nam żadnych tu uczt nie potrzeba; koni i bryczki, a kwitujem cię ze wszystkich specyaliów, o jakich świat mógł kiedy pomyśleć.

— Panowie tak niecierpliwi, rzekła ruszywszy ramionami i odeszła uśmiechając się dobrodusznie czy może i chytrze, nie mogłem się przyjrzeć. Kolega bowiem w nowy gniew wpadając porwał się z sofy krzycząc na pisarza:

— Koni! natychmiast koni! Jeśli za kwandrans nie będą konie, odpokutujesz mi tam, gdzie jeszcze ani tysam, ani twój ojciec, ani dziad nie był.

Pisarz chciał się znowu potulnie uniewinniać, ale kolega z groźną postawą kankazkiego oficera ani słowa nie dał mu przemówić. Pisarzowi widać dobrze było wiadomo do czego w zapędzie gniewu zdolny każdy Kaukazczyk. Choćby to był mieszkaniec Północy, przeżywszy kilkanaście lat pod ognistem niebem Wschodu, nabywa niepohamowanych żadnem zastanowieniem popędów, tak jak przywyka do swego kindżału obosiecznego, z którym się żaden góral na pięć minut nie rozstaje, tak jak nabywa tej sńiadej ogorzalej fizjonomii charakterystycznej Czerkiesów i Czeczeńców. Kindżał i kula nieraz przemawiały za sprawą czy słuszna była lub nie słuszna, tych przeaklimatyzowanych dzieci umiarkowanej Europy. Ztąd to pan pisarz widząc coraz rozgłośniej grzmiący i nieudany gniew mego kolegi, znikł w jednej chwili jak kamfora. Lecz natychmiast zja-

wia się z powagą rozjemcy ów ormiański duchowny, zbliża się z długą laską, robiąc znak krzyża kilkakrotnie.

— Człeczce grzeszny, o małą rzecz się troszczysz, o pół dnia, albo może mniej, a poruszasz wszystkie siły niebieskie i piekielne.

— Ależ ojczu, tu nie o pół dnia, ani o trzy dni nawet idzie; tu niewiedzieć dopóki zamyśla nas ten nikczemnik więzić w swem grzesznem więzieniu. I tak już dłużej przeciw wszelkim regułom pocztowym siedzimy tutaj. A komu w drogę, temu czas jak mówi przysłowie.

Ucieszyłem się, widząc, jak na widok tej poważnej postaci kapłana wschodniego, przypominającego jakieś czasy chaldejskie, zaogniona fizyonomia kolegi poczęła łagodnieć. Dokonała zwycięstwa panna Nadieżda, gdy zbliżywszy się z małą swą siostrzyczką w towarzystwie Signora Aman-ti, z którym przechadzała się po ganku, rzekła:

— Niech pan jeszcze raczy zfolgować temu biedakowi pisarzowi choć dziś i jutro. Żrób pan to dla mnie. Połóż pan na szalę: jazdę po błocie na zimnie i pobyt w ciepłym pomieszkaniu, w towarzystwie jakkolwiek różnorodnem, ale dotąd dobrze się bawiącem, a zobaczysz co prze-waży. Oto ten pan na jutro obiecuje nam nowe przedsta-wienie, a niezawodnie lepiej się uda jak wczorajsze. Ja także występuję w roli *branki kaukaskiej*.

— Jakto, zapytałem, to będzie przedmiot z dziejów Kaukaskich zapewne?

— Tak jest, rzekł mniemany aktor, i właśnie mam do panów proźbę, pragnąłbym zasięgnąć niektórych wiadomości o życiu Kaukazkiem, o zwyczajach, ognistych uczuciach i zemście. Wszak to za państwa bytności dostała się do niewoli w góry jakaś pani pułkownikowa M..., co później w kajdany wdzięków i miłości ujęła swego barbarzyńskiego władcę, młodego księcia Czerkieskiego, tak że aż dawniejsza żona jego, powodowana zazdrością, ułatwiła u-wolnienie pięknej Rosyanki.

— Możem udzielić panom kilka szczegółów tego wypadku, bo mieliśmy znajomość z jej mężem.

— Jakże będziemy wdzięczni; proszę panów do nas. Allons, dèpechons, ces maisons en peinture, S'approche le jour de notre ouverture.

I pociągnął nas za sobą wesoly młodzian, ujawszy obu pod ręce, gdy tymczasem panna Nadieżda odchodząc zaintonowała sobie miłym głosem, który zapowiadał dobre jej powodzenie na scenie:

„Amour, séduisante espérance,  
„Tu voudrais me ravir mon coeur,  
„Mais contre toi mon innocence,  
„Saura lutter....

Dalszych już słów niedosłyszałem, wszedłszy między wesołą młodzież, która z głośną wrzawą nas otoczyła, prawiać o swych przygotowaniach do jutrzejszego wystą-pienia.

Jest jakaś sympatja pomiędzy nami a otaczającym nas towarzystwem. Między młodzieżą odmładzamy się tak-że. Gotowiśmy jak oni śmiać się i trzpiotać. Tak i mój towarzysz śród tej udanej trupy złożył z siebie marso-watą postać, co na prawdę przerażała zaczęła pisarza sta-cyi, żartował, sypał conceptami jak z rękawa, bawiąc mło-dzież kosztem wszystkiego, co tylko było poza ścianami stancyjki. Uważałem że i mnie by się dostało, gdybym nie był tam przytomny. Opowiadał także o swem bez trosk życiu na Kaukazie, gdzie człowiek stara się o niczem nie myśleć, aby uniknąć smutnej myśli o śmierci. Tak rozognił ich imaginacją powieściami o pięknych kozaczkach Grebień-skich, o ich zabawach świątecznych, o tysiącnych wypad-kach miłosnych, w których brał udział jako bohater; to znowu o życiu obozowem, o napadach na auly, o brankach czeczeńskich, których wiele dostawało się do niewoli, o bo-gactwach zdobywanych w aulach, o pysznych rzedach, ru-makach, kobiercach i t. d., że nasza młodzież nie posia-dała się z zachwycenia, jak najrychlej pragnęła stanąć na miejscu u kresu podróży i zapomniała nawet o jutrzejszej reprezentacyi.

Bałem się, aby na niczem nie spełzło zamierzone widowisko. Lecz z drugiej strony rad byłem, że mój to-warzysz poczciwy Hip. rozerwie się cokolwiek i o pisarzu na chwilę zapomni. Każde bowiem gwałtowniejsze wzrusze-nie szkodziło mu na zdrowiu, w skutek ran nadwężonem. A całem sercem pragnąłem, bom go kochał jak dobrego ziomka, aby zdrow i wesół stanął u poczciwej familii, któ-rej radość obaj przybyciem naszym przywieźć mieliśmy. Tak na rozmowie i śmiechach zeszło prawie do wieczora; już zabieraliśmy się do swego numeru, gdy w tem obfity w pomysły komissyoner włożył we drzwi głowę, zaprasza-jąc na preferansa, do którego zbierał ochotników.

Żaden z owej młodzieży nie zasiadł do tej zabawy; robili bowiem cały wieczór przygotowania do przyszłego wi-dowiska. Zebrał się przecie jeden stół; jedni grali, dru-dzy się przypatrywali. Damy, w ich liczbie Nadieżda, ta smętna lilia na wysmukłej lodydze, przechadzały się po oświeconym korytarzu. Niekiedy brała nas ciekawość po-patrzeć jak gra stoi. Swoim zwyczajem komissyoner podej-mował całe towarzystwo, każąc podawać herbatę, ser i kawiorę, to częstując nalewkami i winem. Wielką z tego względu zyskał sobie popularność i w zupełności zasługi-wał na nadawany sobie tytuł porządnego człowieka. Go-ścinnność i huk zasobów, które zwykł zawsze wozić z sobą, to była jego prawdziwie silna strona i jego chwała, w któ-rej mu nikt tam nie zrównał.

Lecz co do biegłości w grze, preferansował najnieda-łętniej, ale też miał ogromną słabość uchodzić za prefe-ransistę. Spojrzałem na jego grę, stał jak najgorzej i cią-gle wpadał coraz więcej, ani myśleć było o odegraniu się. Szczęściem, iż takiej ociężałej fizyczności indywiduum nie

brak na dowcipie wrodzonym, który ich ratuje w najkrytyczniejszych razach. Do tego dowcipu musiał się uciec komisyjner; mianowicie, gdy w ostatniem rozdaniu los tak się zawiązał u niego, iż mu same szóstki, a najwięcej dziewiątki w rękę powtykał. Nagle więc zrobił twarz poważną, zamyslił się, niby się przysłuchując i krzyknął:

— Co! pali się, pożar! Ach! dla Boga żywego!!

Wszyscy z miejsc się poruszyli, tak grający jako i przypatrujący się pobiegli ku drzwiom, tłocząc się na korytarz, z korytarza na ganek, oblatują do koła zabudowania. Tymczasem komisyjner, co z tyłu za innymi pospieszał, miał czas złożone przez grających karty zręcznie pomieszać i porozrzucić, a szczoteczką rachunki na zielonym stoliku zręcznie zatarł, i tak pokrzywił, że trudno było dojść ładu.

Lecz gdy ani śladu pożaru nie okazywało się, co za pożar, z gniewem zaczął wołać: Pożar, pożar! Co tu za bałwan ruszył konceptem? Gdzież się co pali, i co się tu będzie palić, kiedy do koła ani cienia strzechy jakiej! Panowie proszę do gry! czasu nie tracić, trzeba skończyć, a ja nie źle zda się stałem.

Lecz jeszcze więcej zaczął udawać gniewającego się gdy za powrotem znaleziono porozrzucane karty i zielony stolik oczyszczony, jakby dopiero gra się miała rozpoczynać.

— A to chyba djabeł tu figla spletał, a to koncept nie lada! A tak stałem doskonale jak nigdy. Ej tfu panowie! kto taki żart sobie zrobił i t. p.

Nie mniej też inni powstawali przeciw tej psocie i złorzeczyli, gdyż każdy mniej więcej pamiętał, że stał bardzo dobrze, i każdy wtórzył komisyjnerowi w złorzeczeniach. Tak więc musiano się rozejść, zwłaszcza że już było za późno.

(D. n.)

## Wiadomość o Truskawcu.

(Ciąg dalszy.)

Dobroć rządu zastrzegła u dzierzawcy 400 kąpiel bezpłatnych dla ubogich; należałoby tylko mieć na względzie, aby w rozdzielaniu tych daremnych kąpiel radzono się więcej czystego miłosierdzia, niżeli pewnych względów, niżeli osobistej protekcyi. Słuszność wszakże wymaga, aby przy tej sposobności oddać sprawiedliwość i podziękować w imieniu ludzkości dzierzawcy, który osobno udzielał ubogim nie mało kąpeli, i w tym względzie tak był szczodrym, że nawet gościom dawał bilety bezpłatne do rozdania między ubogich.

Przejdźmy teraz do urządzenia tamecznych źródeł.

Do źródła Maryi tego roku z powodu cholery mniej zalecanego, prowadzi ścieżka szutrowana, ale pod górę za nadto przykra dla chorych, i w stosunku do odległości

nadto mało jest przy niej miejsc do odpoczynku. Źródło to jest dziwacznie zabudowane, czyli raczej dla altany na górce na muzykę, i dla schodów doń prowadzących tak obudowane, że przyszedłszy ledwie widać z frontu otwór ciemny zupełnie, z którego głębi dobywa się światełko tlejące przy obrazie Matki Boskiej. Widok jakby grobu, z którego dostaje się napój ozdabiający, dziwne jakieś robi wrażenie. Koło tego otworu po obu stronach są schodki nadzwyczajnie drabinowate, wiodące na górę do altany i do spaceru. Kto chory na nogi, a z dołu ze sześć razy zejść może po wodę i wyjść na górę bez pomocy, ten niezaprzeczenie może się uważać za wyleczonego, przynajmniej z niemocy nóg.

Altana dla muzyki i spacer kryty jest to bardzo ekonomiczna imitacja ozdobnych salonów w Karlsruhu i Marienbad, przeznaczonych do spacerów dla chorych. Lecz jakież różnica! Tamte salony są ozdobne i okazałe, miłe oku, pełne wygod, bo inżynierja dobrze zrozumiana nie szczędziła kosztów by je upiększyć, przekonana, że napływem gości koszta te się wrócą i nadgrodzą. W Truskawcu urządzeniu temu przewodniczyła oszczędna ekonomja, i ustawiła drewniane słupy, pokryte słomianym dachem bez ścieli. Jest tedy wąska i długa szopa, służąca interymalnie dla przechadzki chorych, a mogąca z czasem, gdyby tego chwila wymagała potrzeba, służyć na skład siana lub słomy.

Do źródła Zofii jeszcze nie urządzonego prowadzi ścieżka przez gęsty las. Źródło to w swych skutkach daleko mocniejsze od źródła Maryi, nie było tego roku używane z powodu cholery, tem więcej, że i lekarze je nie zalecają dla braku analizy składowych onego części.

Największem dotąd bogactwem Truskawca jest niewątpliwie źródło Nafty, do którego prowadzi ścieżka przy samem wnijsciu bardzo przykra i dla chorych męcząca. Źródło to nie jest tyle źródłem kąpielowem, ile raczej można by je nazwać źródłem gromadzkim; woda bowiem tego źródła załatwia wszystkie potrzeby mieszkańców tamtejszych. Z tąd wiecznie przy nim błoto, pochodzące z przelewanych i nalewanych dzbanków, konewek, cebrów i beczek; gość kąpielowy musi zatem brnąć przez błoto, przesuwać się pomiędzy naczynia, i przeciskać pomiędzy czeladź wszelkiego rodzaju tam zgromadzoną, zanim dostanie się do źródła. Szczęśliwy jeszcze, jeżeli dojdzie nie obłany i nie obwałany, i jeżeli dłuższy czas nie musi czekać, zanim z wiecznie zajętej a nędznej pompy dostanie dla siebie szklanekę tej cudownej wody. Tu właśnie przemysł wolno puszczonej przez ekonomję mógłby najwięcej zdziałać. W krótkim czasie i z niewielkimi kosztami, któreby się wnet wróciły, powstałaby porządna studnia, z osobnemi przystępniami dla mieszkańców osady i dla gości kąpielowych; ścieżki komunikacyjne, połączone z plantacją góry, i dla wygody gości mógłby być osobny przechód przez ogród erekcyjonalny, wiodący do mieszkań górnych i do ogrodu spacero-

wego; a nareszcie dobrze urządzone wodociąg zastąpiłyby nędzną pompę drewnianą. Zdaje się wszakże, że żądania te ze strony licznie co roku zgromadzających się gości nie są zbyt liczne.

Główna przeszkoda do lepszego urządzenia tego źródła, do rozprzestrzenia plantacji do przechadzki służącej, i do rozdzielania wody dla chorych od wody na potrzeby gminne, jest to, że grunt otaczający źródło jest erekcyjny księży. Nie byłoby wszakże trudną rzeczą dla przemysłu dobrze zakierowanego, porobić przez wzgląd na dobro powszechne układy o to obejście erekcyjne, które dałoby się przenieść gdzie indziej, a tym sposobem uzyskano by się miejsce koło tego dobroczynnego zakładu, na którym z czasem mogłyby stanąć porządne dworki mieszkalne. Uniknęłyby się też tej komunikacji teraz koniecznej dla plebanii i cerkiewnej służby, którzy przechodząc przez ogród spacerowy, po pod mieszkania dominikałne, niekoniecznie mile, a na chorych złowrogie nawet robią wrażenie.

Wody kąpielowej solnej jest podstatkiem; a jest tak silna, że rzadko bardzo mogą chorzy używać jej samej. Zwykle dolewa się połowa lub nawet trzy części wody siarczanej; lecz tej jest mniejsza ilość, i ta co jest nader słaba. Jest wprawdzie źródło siarczane bardzo mocne i obfite, ale zbyt oddalone, trzeba by więc koniecznie postarać się o to, aby je sztucznym sposobem, do czego mógłby posłużyć kierat, dawniej podobno zbudowany do kopania srebra. Słabość używanej wody siarczanej przymusza lekarzy, że przepisują dosyć preparatu siarki (Hepar). Lecz i w tym panuje niesłychana niedbałość. Chory musi się kłopotać nabywaniem tego preparatu, i kupując go najwięcej w kramie u żyda, posyłając za nim nawet do Drohobycza lub do Stryja, trudząc się dostaniem małej wazki do odważenia potrzebnej dozy, nie tylko że się ciągle musi tem mozolić, ale co gorzej, nigdy pewnym być nie może jakości towaru. Czyliż nie jest to obowiązkiem dzierzawcy, aby sam na się wziął tę tak ważną dla chorych, a dla siebie mało znaczącą posługę. Badmeister mógłby mieć u siebie zapasy siarki dobrej jakości, i sam rozmierzać wedle ordynacji lekarskiej, sam nareszcie dodawać do kąpeli; zaco niechby wreszcie należało mu jakie wynagrodzenie. Byłaby z tego wygoda wielka dla chorych i zarazem korzyści dla przedsiębiorstwa.

Że nieraz zabraknie wody do kąpeli, nie można przypisywać niedostatkowi wody, ale niedbałości. Rury komunikacyjne są po największej części złe; pompy jak najnędzniej urządzone, na złych skurzanych kłapach; niema zdolnego mechanika, któryby umiał urządzić wodociągi i pilnować onych; parobcy niezdolni do tego pracują najlewniej, bo żadnego nad nimi niema dozoru.

Traktjernią i cukiernią zawiadują ludzie fachowi z prawdziwą pilnością, która zasługuje na pochwalną wzmian-

kę. Chociaż stołujących się tak w traktjerniach jak i po domach było tego roku do 200 osób, porządek był wzorowy i zadowolenie ogólne. Prawda, że nikt nie widział ani traktjernika ani cukiernika bawiących się przy kartach, ale za to w każdej porze zdybać ich było można pracujących mozolnie, każdy w swoim zawodzie. Lecz ci ludzie rozumieją, co to są obowiązki przyjętej raz na siebie usługi dla gości.

(D. n.)

## Rozmaitość.

\* Podróżnik jeden opowiada, iż gdy go sławny malarz Schiavoni oprowadzał po swej bardzo pięknej galerji obrazów w Wenecji, wpadł mu w oko obraz starego Schiavoni z 17 wieku najslawniejszego weneckiego malarza. Była to młoda, przecudnej piękności kobieta, jedząca u nakrytego stołu róże. Właściciel obrazu ucieszył się widocznie tem, iż ten obraz uwagę zwrócił podróżnika; w końcu odezwał się:

»Gdy panu ten obraz tak podoba się, pokażę panu kopię tego obrazu, która jest mojem najpiękniejszym dziełem.« Przywołał starą służkę, szepnął jej kilka słów, a w kilka minut Schiavoni rzekł do podróżnika: Oto jest. Podróżnik się obrócił, a ujrzał we drzwiach stojącą najwierniejszą kopię obrazu, ale żywą. Zdziwiony patrzył to na malarza, to na piękną dziewicę. »To moja córka, odezwał się wreszcie malarz, a obraz ten przedstawia moją praprababkę. Mój praprzadziad całe życie swe był w nędzy. Malował z początku tarcze szynkowe i t. p. a nikt się z wielkich malarzy nie ujął za nim. W nędzy pocieszała go jedynie piękna Giacinta, którą był raz wieczorem na Rialto zdybał, i która mu powiedziała iż jest sierota, bez ojca i matki, i okropnie głód cierpi. „I ja sam jestem głodny, odparł Schiavoni. Pójdź ze mną. Poszła za nim i nie opuściła go więcej. Sztukę swą zmuszony był uważać za rzemiosło, a jednak nigdy tyle zarobić nie mógł aby wolny był od trosk i niedostatku, tak że często z Giacintą głodem mrzeli wraz z dziatwą, której co rok przybywało. Gdy już miał ośmioro dzieci, nagle szczęście się do niego uśmiechnęło. Klasztor jeden zamówił u niego wielki obraz nad którym bardzo pilnie dłuższy czas pracował. Właśnie oddał ten obraz w dzień odpustu w tym klasztorze. Cała Wenecja biegła składać u stóp Madonny bukiety i wieńce z róż. Gdy nabożeństwo się ukończyło, Schiavoni zbliżył się do zakonników i prosi o cokolwiek pieniędzy, które mu się należą. »Pieniądzy? odparli, pieniędzy nie mamy mistrzu, ale weźcie sobie tych kwiatów tyle ile wam się podoba.«

Rozpaczając wziął Schiavoni dwa bukiety i wybiegł z klasztoru. Giacinta z ośmiorgiem dzieci czekała go u progu ubogiego domku. Oto mi dali zamiast pieniędzy, rzekł ojciec i rzucił im kwiaty. »Róże przynoszę wam na obiad.

Giacinta poobrywała a róże, dała po garści każdemu dziecku i sama sobie i ojcu nakładła na talerz. Była to ostatnia wieczerza jej. Na drugi dzień umarła, a Schiavoni z pamięci później wymalował ją jedzącą róże. Ile to też wylać musiał malując ten obraz. W krótko potem i on umarł a ośmioro sierot zostało na opiece boskiej. Nie zaginał jednak ród jego. Ja zamieszkuję ten pałac, jestem także malarzem, ale już niemam tego talentu, co mój pradziad, który z nędzy umarł. Czyż nie jestem przeto biedniejszym od niego?..

\* Izba niższa angielska uchwaliła ustanowienie komisji dla zbadania rozmaitych artykułów żywności, w jakiej jakości są sprzedawane. Nieliczoną ilość fałszowań już odkryto. Między innymi komisja ta przez nieznanym w kilkuset sklepach ponakupowała

herbaty chińskiej w najrozmaitszych gatunkach. Ani jednego gatunku jednak nie znalazła któryby nie był zfałszowany. Co gorsza najczęściej fałszowania te skutecznie szkodliwymi dla zdrowia ludzkiego substancjami, a jak n. p. błękitem berlińskim i t. p. Wypadki tych śledztw nie bardzo są i dla nas pocieszające, którzy głównie konsumujemy przez Lipsk z londyńskich doków sprowadzaną herbatę.

\* Listy z Czerniowiec nie wspominają o śmierci przedsiębiorcy teatru polskiego. Wiadomość przywieziona przez podróżnych niema więc jeszcze pewności.

\* Z spisu rzeczy zawartych w pierwszym półroczu Nowin, przekonać się można, iż umieszczonych było w pierwszym tomie 1855 tego pisma 10 tomów powieści większych, przeszło dwa tomy szkiców i obrazków powieściowych a dwa tomy poezji. Czernaście tych tomów oddrukowanych osobno kosztują do 20 złr. m. k. w handlu księgarskim. Jedno półrocze Nowin kosztowało zaś prenumeratorów 3 złr. m. k. Z tego wniosek łączy o taniości a ztąd i przystępności naszego dziennika dla wszystkich klas czytelników.

\* Po zamknięciu dawnego okopiska miasto wyznańczyło grunt miejski na nowe. Z początku starozakonni życzyli sobie w innym miejscu, należącym do osób prywatnych, urządzić swój smętarz, i już wchodzili w umowę z właścicielami, co dało nam powód do doniesienia iż grunt na nowe okopisko gmina izraelicka sobie kupuje. Lecz już po naszym doniesieniu z przyczyny sanitarnej, iż grunt ten był w bliskości gościńca głównego, odmówiono temu życzeniu gminy izraelickiej i okopisko na gruncie miejskim urządzone zostało.

\* Na dniu 26. Sierpnia zasłało 11. a umarło 15. osób. dnia 27 zasłało 11 umarło 10. Ogółem od powstania zarazy zapadło 5469, a umarło 2756 osób.

**W aptece »pod opatrnością Boską» we Lwowie, jest miejsce opróżnione dla subiekta.** — Bliższa wiadomość u właściciela Apteki Henryka Lanerego. (154 1—3)

**Do księgarni na prowincyi poszukuje się praktykanta,** któryby ukończył przynajmniej czwartą klasę normalną. Bliższych szczegółów udziela księgarnia H. W. Kallenbacha we Lwowie. (155 1—3)

Podpisany przyjmuje w tym roku pod swój osobisty dozór 4. do szkoły chodzących lub prywatnie się uczących

## Uczniów na stancyę,

którym prócz przedmiotów szkolnych także gra na fortepianie, rysunki i t. d. udzielone być mogą,

**Edward Nowacki,**  
nauczyciel szkoły głównej w Bolechowie.

(153 1—3)

**Przyjechali od dnia 28. do 30. Sierpnia do Lwowa.**

PP. Rogalski Jozef ze Sermaczówki. Bystrzanowski Leopold z Makoniowa. Madejski Marian ze Stanisławowa. Czermiński Juliusz z Glińska. Drohojewski Eust. z Łukawicy. Mier Henryk hr. z Buska. Thulie Jan z Mokrze. Jakubowicz Krzysztof z Krakowa.

PP. Torosiewicz Maurycy z Ostrowa. Szczepański Wład. z Brzeżan. Jordan Jan z Lubienia. Dobrzański Stan. z Daszawy. Brunicki Piotr hr. z Żółtkwi. Mier Agnieszka hr. z Buska.

**Wyjechali od dnia 28. do 30. Sierpnia ze Lwowa.**

PP. Winnicki Ludwik do Wierzbicy. Komorowski Adam hr. do Krakowa.

PP. Bystrzanowski Leopold do Makoniowa. Golejewski Kornel hr. do Stryja. Zieliński Karol do Mikołajowa. Czermiński Juliusz do Glińska. Terlecki Sylwester do Krystynopola.

**Kurs telegrafowany z Wiednia 29. b. m. o g. 2. popołud**

Augsburg za 100 złr. . . . .	117	Pożyczka 5% . . . . .	75 <sup>7</sup> / <sub>8</sub>	—
Hamburg za 100 tal. banco . . . . .	84 <sup>3</sup> / <sub>4</sub>	Akcyje banku . . . . .	978.	
Londyn za 1 funt szterl. . . . .	11 15	Kolej północna . . . . .	2070	
Medyolan za 300 lirów . . . . .	115 <sup>3</sup> / <sub>8</sub>	Obl. ind. . . . .	70 <sup>7</sup> / <sub>8</sub>	
Paryż za 300 franków . . . . .	135 <sup>3</sup> / <sub>8</sub>	Nowa pożyczka z loteryą . . . . .	98 <sup>3</sup> / <sub>8</sub>	
Agio duk. ces. . . . .	21 <sup>1</sup> / <sub>2</sub>	Pożyczka narodowa . . . . .	81 <sup>1</sup> / <sub>16</sub>	

Wczorajszy	Kurs Lwowski	Gotówką towarem.
Dukat holenderski . . . . .	zlr. 5 kr. 22	zlr. 5 kr. 24
Dukat cesarski . . . . .	5 " 25	5 " 28
Półimperyal zł. rosyjski . . . . .	9 " 18	9 " 22
Rubel srebrny rosyjski . . . . .	1 " 48	1 " 49
Talar pruski . . . . .	1 " 43	1 " 45
Polski kurant i pięciozłotówka . . . . .	1 " 48	1 " 19
Galleyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu . . . . .	92 " —	92 " 30
Galleyjskie obligacje indemnizacyjne bez kuponu . . . . .	71 " —	71 " 30
5 proc. pożyczka narodowa . . . . .	80 " 30	81 " 30

Zupełny

## APPARAT FOTOGRAFICZNY

z wszelkimi przyrządzeniami jest do sprzedania. Bliższą wiadomość powziąć można w handlu żelazem Juliusza Gablenza. (156. 3—3)

## Jan Balko

przeniósł swój

## Skład Fortepianów

z domu pana Towarnickiego przy ulicy dykasterialnej do kamienicy hrabiego Karnickiego przy ulicy pojezuickiej, i poleca się Szanownej Publiczności z znacznym zapasem bo przeszło pięciudziesiąt fortepianów w salonach, budowy pierwszych mistrzów wiedeńskich, Streichera, Bösendorfera i innych.

(2—3)